

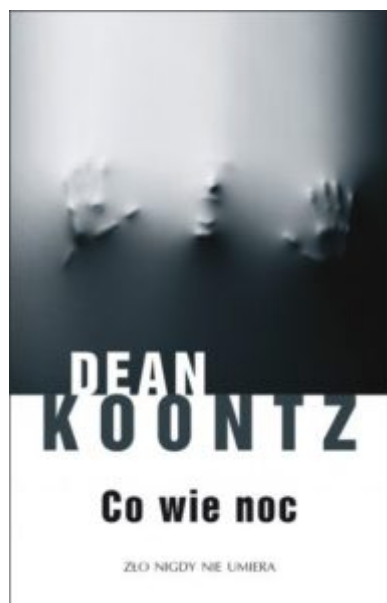
**DEAN
KOONTZ**

Co wie noc

ZŁO NIGDY NIE UMIERA

Artystyczna groza?

Ebola



Autor: Dean R. Koontz

Tytuł: *Co wie noc*

Tłum.: Danuta Górską

Wydawnictwo: Albatros, 2013

Stron: 447

Cena: 34,90 zł

Trudno mi było uważać Deana R. Koontza za wybitnie uzdolnionego pisarza. Owszem, solidny to rzemieślnik, wydajny i pracowity, w końcu inaczej jakim cudem udałoby mu się sprzedać ponad pół miliarda egzemplarzy wszystkich dzieł? Zawsze jednak śmieszne wydawało mi się nazywanie go przez wydawców „mistrzem” czy też „konkurentem Stephena Kinga” – obaj panowie mają ze sobą tyle wspólnego, że piszą po angielsku, a ich nazwiska zaczynają się na literę K. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy *Co wie noc*, jedna z jego najnowszych książek, okazała się powieścią nie tylko powyżej przeciętnej, ale wręcz rewelacyjną.

Policjant John Calvino, wrażliwiec o artystycznej duszy, w ulewne popołudnie przyjeżdża do szpitala stanowego, żeby przesłuchać nastolatka, który bestialsko zamordował całą swoją rodzinę. Słucha z przerażeniem bezwstydnej spowiedzi Billy'ego Lucasa, ale to nie brak skruchy oprawcy szokuje go najbardziej, lecz podobieństwo dokonanej przez niego zbrodni do serii morderstw popełnionych dwadzieścia lat wcześniej. Wtedy to niejaki Anton Blackwood wyciął w pień cztery rodziny, a ostatnia z nich należała właśnie do Johna – który (podówczas nastoletni chłopak) zdołał zabić intruza w samoobronie, naiwnie sądząc, że położył kres krwawej serii. Jest teraz szczęśliwym mężem i ojcem, jednak wygląda na to, że zabójca powrócił zza grobu, żeby kontynuować swoje dzieło. Z mocnym postanowieniem, że nowa rodzina Calvino tym razem mu się nie wywinie. John uświadamia sobie, że sam nie zdoła ochronić swych bliskich, ale trudno będzie znaleźć pomoc, skoro nikt w tak nedorzeczną historię nie uwierzy. Tymczasem zbliża się okrągła rocznica ostatniego morderstwa.

Czas ucieka...

Trudno nazwać takie rozwiązanie fabuły najoryginalniejszym pomysłem na świecie. Koontzowi udało się jednak wycisnąć z raptem kilku wątków tyle dobrej literatury, ile tylko się dało. Właśnie to stanowi największą zaletę powieści: od pierwszej strony osacza ona czytelnika gęstym nastrojem, sugestywnością opisu, stylem absolutnie kunsztownym, jak na tego pisarza. Nie skupił się na tym, co było dla niego zazwyczaj tak charakterystyczne – drobiazgowym opisywaniu nudnych policyjnych procedur, technicznych szczegółach dotyczących używanej broni i innych elementach dominujących w literaturze sensacyjnej czy kryminalnej – tylko na stopniowym budowaniu napięcia i atmosfery narastającej grozy. Już na trzeciej stronie główny bohater zdaje broń strażnikowi w szpitalu, co można odczytać zarówno dosłownie, jak i symbolicznie: nie będzie to typowy dreszczowiec pełen akcji, z lekką nutką niesamowitości, a broń palna zwyczajnie nie będzie miała zbyt częstego zastosowania. A gdyby to „pożegnanie z bronią” nadal pozostawiało jakieś wątpliwości, John szybko zostaje z powodu dziwaczego zachowania zawieszony w obowiązkach służbowych, i już wiadomo na pewno, że nie mamy do czynienia z powieścią „policyjną”.

Także same realia opowieści zostały na samym początku potraktowane czysto umownie. Koontz odmawia podania czasu i miejsca akcji, stwierdzając filozoficznie: „Czas jest zawsze, miejsce jest wszędzie” - podkreślając w ten sposób uniwersalność opowiadanej historii. Nie jest to bowiem na wskroś nowoczesny, standardowy bestseller (bodajże jedynym elementem wymykającym się konwencji ponadczasowości jest używanie przez postaci telefonów komórkowych), a klasyczna *ghost story* w starym, dobrym stylu, którym wielbicieli horroru nie są obecnie zbyt często rozpieszczani. Zabrzmi to jak herezja, ale oto dostaliśmy powieść, która może z powodzeniem zadowolić czytelników wychowanych na trochę już zakurzonych opowieściach o duchach, w stylu Jamesa Herberta czy nawet samego Stephena Kinga. Nie wiem, kto pierwszy rzuci we mnie kamieniem, ale jeśli taka zwyczajka formy utrzyma się u Koontza, zamierzam uznać go wreszcie za tego mistrza, którym wydawnictwa tytułują go od lat.

Kolejnym niezwykle jasnym punktem książki jest charakterystyka postaci. Autor w tej dziedzinie również rzadko miewał coś ciekawego do powiedzenia, kreowani przez niego bohaterowie to na ogół wytarte stereotypy, upstrzone podręcznikowymi przypadkami zaburzeń emocjonalnych czy wręcz chorób psychicznych. Ale nie tym razem. *Co wie noc* może się poszczycić kilkoma całkiem imponującymi portretami psychologicznymi, ubarwionymi w dodatku ciekawymi artystycznymi naleciałościami.

Rodzice Johna byli artystami i znawcami sztuki, co silnie wpłynęło na jego ukształtowanie. Widziane jego oczyma sceny często przybierają postać klasycznych płócien słynnych malarzy, odzwierciedlając jego delikatną duszę, ale policjant kryje przed światem zewnętrznym tę wrażliwość na sztukę pod płaszczykiem twardzielstwa i śledczej metodyczności. Nawet ślimaka bez powodu nie rozdepcze, a czasami choćby rześisty deszcz wydaje mu się metaforycznie brudny i skażony deprawacją. Z odrobiną ironii można wręcz powiedzieć, że bohater stara się robić na swoim otoczeniu wrażenie takiego typowego gliniarza rodem z ostatnich powieści Deana Koontza, ale tenże sam pisarz odkrywa przed nami jego o wiele bardziej złożone wnętrze.

Inni członkowie rodziny Calvino też nie pozostają daleko w tyle, jeśli chodzi o malarskie inklinacje. Żona Johna, Nicky, maluje udane obrazy i obraca się wśród przyjaciół ze świata sztuki. Dzieci również dostają osobne rozdziały, obszernie przybliżające czytelnikowi ich świat wewnętrzny. Zach, nastoletni syn, zapamiętałe rysuje, głównie koleżankę, w której się durzy bez wzajemności, jednocześnie marząc o karierze w Piechocie Morskiej. Jedynie córki Johna poszły w innym kierunku i są z kolei zafascynowane czarami i światem baśni.

Za to sam morderca również przejawia uzdolnienia artystyczne, ale w jego przypadku jest to talent

pisarski. Prowadzony przez niego dziennik, którego fragmenty są przed nami stopniowo odsłaniane, to niemal arcydzieło, a jego lektura sprawia, że John zaczyna się zastanawiać, czy szalenciec nie był artystą.

Ale trudno, żeby postać w książce nie miała zdolności literackich, skoro sam jej autor błyszczy niezwykle obrazowymi opisami na niemal każdej stronie. Już na samym początku przekazuje, jak to zaraz po przelocie stada ptaków lunęło: „Jakby ich skrzydła przebiły niebo, zaraz po ich przelocie spadł deszcz.” Potem jest jeszcze lepiej. Konia z rzędem temu, kto potrafi pięknie opisać burzę z piorunami: „[...] po szybach spływały grube, drżące krople deszczu, rysując siatkę arterii, które pulsowały przy każdym oślepiającym rozbłysku.” I jak się nie zakochać w takim zdaniu: „Dziewczyna nazywa się Melody Lane, jednak w jej sercu nie ma melodii, same rażące dysonanse [...]”.

Takich perełek jest w *Co wie noc* istne zatrzęsienie i głównie one zapadały mi w pamięć w trakcie czytania. Mając to na uwadze, należy jednak zaznaczyć, że Koontzowi niejednokrotnie omsknęła się noga (czy też raczej pióro) i niektóre nazbyt soczyste opisy popadły w otchłań kiczu. Na przykład: gdy John uparcie powraca na miejsce jednego z morderstw, którymś razem przez chwilę wydaje mu się, że rozchlapana krew ofiary krzyczy do niego, po chwili jednak uświadamia sobie, że to „tylko jego własny niemy krzyk moralnej odrazy”. Niedługo potem zaś, jednocześnie odczuwane przez niego wstręt, żal i gniew, postrzega jako „trzy nici w igle wszywającej tę chwilę do pamięci”. To już bezdyskusyjnie przesada, ale na szczęście Koontz osiąga tak wysoki pułap słownej ekspresji jedynie sporadycznie, ratując się przed popadnięciem w ogólną śmieszność.

„Typowa amerykańska rodzina w niebezpieczeństwie” to u Deana Koontza motyw nie nowy – niełatwo wskazać w jego dorobku powieści, w których się nie pojawia. Tutaj jednak został potraktowany dogłębniej i poważniej, nie tylko ze względu na rozbudowane charakterystyki bohaterów. Wyjątkowo dobrze opisano w powieści stopniowe przekonywanie się do nadprzyrodzonego charakteru zjawisk. Inaczej niż w większości horrorów, nie ma natychmiastowej akceptacji, tylko stopniowy i wiarygodny proces. Członkowie rodziny, z obawy przed wysmianiem, długo przemilczają przed sobą nawzajem fantastyczne wydarzenia, które im się przytrafiają, gdy mściwy duch zaczepia ich po kolei. Oczywiście, gdyby każdy z miejsca wszystko zreferował pozostałym, o jakiegokolwiek gradacji nie byłoby mowy. Także opętywanie kolejnych ofiar (nic tutaj nie zdradzam, od początku książki wiadomo, że duch mordercy wykorzystuje kolejne osoby jako „środki transportu”) jest za każdym razem umotywowane logicznie, zarówno na płaszczyźnie emocjonalnej, jak i, *nomen omen*, duchowej. Dzięki tym zabiegom powieść można z czystym sumieniem sklasyfikować jako pełnowartościową grozę psychologiczną.

Jestem również pod ogromnym wrażeniem tego, jak niewiele znalazłem w książce słabych punktów. Właściwie jedyne, do czego mógłbym się przyczepić, to finał: choć ostatnie kilkadziesiąt stron może się poszczycić ogromną dozą napięcia, wkradł się tam pewien niezamierzenie komiczny element, psujący nieco silne wrażenia, a który naprawdę łatwo można było bez żadnej straty wykreślić. Każdy, kto czytał trochę książek Koontza, wie też o jego odwiecznym „fetyszu”, polegającym na nieodmiennym czynieniu psów rasy golden retriever ważnymi postaciami. Tutaj można od tego nieco odsapnąć, ale nie do końca: rodzina Calvino miała kiedyś nad wyraz mądrego psiaka, choć dawno już zdechł, nadal jest niezwykle żywy w ich codziennych wspomnieniach. W takiej czy innej formie, wzmianki o ulubionej rasie nie mogły zabraknąć.

Po niemal dekadzie wypełnionej pisaniem kryminałów, dreszczowców i sensacji, Dean R. Koontz dokonał wysoce udanego *comebacku* do pełnokrwistego horroru, z którym kiedyś miał sporo wspólnego, ale zdawał się go na dłuższy czas porzucić. Oprócz *Co wie noc* wydał w ostatnich latach również drugą powieść grozy, *Dom śmierci*, zebrawszy bardzo przychylne recenzje na Zachodzie, zaś wydana pod koniec ubiegłego roku książka *Innocence* również nawiązuje do tego gatunku, a więc nie był to krótki flirt. Oby okazało się to kolejnym, bardziej udanym rozdziałem w jego pisarskiej

karierze. Jednak jak długo potrwa ta rewizyta w świecie horroru... to wie chyba tylko noc.

Patryk Cichy